

8

P

C

C-2462

STEFAN ŻEROMSKI

02462 ✓

ZMIERZCH  COKOLWIEK SIĘ ZDARZY

WYDANIE NOWE



PRINTED IN POLAND

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

BIBLIOTECZKA

Uniwersytetów Ludowych i Młodzieży Szkolnej.

1. **Konopnicka M.** — Dym.
3. " — Nasza szkapę.
4. " — Niemczaki.
5. **Żeromski St.** — Siłaczka. — Na pokładzie
7. **Prus B.** — Na wakacjach. — Katarynka.
8. **Orzeszkowa E.** — Babunia.
10. " — Ogniwa.
11. " — Panna Antonina.
12. " — A. B. C.
13. **Sienkiewicz H.** — Janko Myzykant. — Latarnik.
15. " — Bartek Zwycięzca.
16. **Galle H.** — Czytanki Polskie. Cz. I.
17. " — Czytanki Polskie. Cz. II.
19. **Reymont Wl.** — W porębie. — Przy robocie.
24. **Kraszewski J. I.** — Upiór.
25. " — Z dziennika starego dziada.
26. " — Profesor Milczek. — Rejent Wątróbka.
27. " — W oknie. — Nauczyciele sieroty.
29. **Rzewuski H.** — Tadeusz Rejtan.
30. " — Sawa. — Pan Borowy.
32. **Sienkiewicz H.** — Pieszko przez Czarny ląd. (Listy z Afryki) II.
33. " — Na Oceanie Atlantyckim (Listy z podróży).
35. **Prus B.** — Kamizelka. — Michałko.
40. **Bomulloki W.** — Chałat.
46. **Wilkoński A.** — Gorzkie wspomnienia słodkiej nadziei.
47. " — Wspomnienia szkolne. — Pomyłka. — Ułamek.
49. **Sienkiewicz H.** — Z puszczy Białowieskiej.
51. " — Pójdźmy za Nim
53. " — Za chlebem.
56. **Siemieński L.** — Portret Króla Jana. — Posłowie Siewierscy
57. " — Wieczór u gen. Kopia. — Wiązanka konwalji
60. **Kosłakiewicz W.** — Sarna. — Literatura mojej żony. — Na-
bożeństwo majowe
69. **Prus B.** — Cienie. Z legend dawnego Egiptu. — W górach.

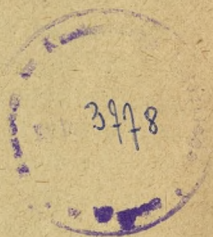
STEFAN ŻEROMSKI

~~223~~

Q. 2462

ZMIERZCH  COKOLWIEK SIĘ ZDARZY

WYDANIE NOWE



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA” w Warszawie.

ZMIERZCH.

Między grube pnie kilku świerków, co sterczą samotnie na skraju poręby, płamiącej mnóstwem czarnych pniaków zgniło-zielony upłaz wzgórza, zsuwało się słońce, pławiąc się w miedzianym blasku, podobnym do przejrzystego kurzu, nieruchomą warstwą nawisłego nad daleką widownią. Odblaski jego lśniły jeszcze na krawędziach chmur, wyłaczając je i zabarwiając szkarłatem, wrzynały się między fałdy szarych kłębów i szklily na wodach.

W brzdach ściernisk i podorywek jesiennych, na sapowatych niwkach i świeżych karczowiskach, gdzie stały smugi wody po niedawnej nawałnicy, mieniły się rude plamy, jak kawałki szyb przepalonych. Na szare, przyklepane skiby padał uciążliwy dla oczu, zwodniczy cień fioletowy, piaszczyste wydmy żółkły, — zielska na przykopach, krzaki na miedzach miały jakieś nieswoje, chwilowe barwy.

W głębokiej kotlinie, otoczonej ze wschodu, północy i południa podkową wzgórz, obdartych

z lasu, płynęła struga, rozlewając się w zatoki, bagna, płanie i szyje, powstająca tam właśnie ze źródełk zaskórnych. Dokoła wody, na torfiastym kożuchu rosły gąszcze trzciny, wysmukłe sity, tartarki i kępy niskiej rokiciny. Nieruchoma, czerwona woda świeciła się teraz z pod wielkich liści grzybienia i szorstkich wodorostów w postaci bezkształtnych plam blado-zielonych.

Nadleciały stadkiem cyranki, krążyły kilkakroć z wyciągniętymi szyjami, przerywając ciszę melodyjnym, dzwoniącym świstem skrzydeł, zataczały w powietrzu elipsy coraz mniejsze, — wreszcie zapadły w trzciny, z łoskotem rozbijając wodę piersiami. Ucichł dudniący lot bekasów, głuche wołanie kurki wodnej, ustało dowcipne pogwizdywanie kulików, poznikały nawet szklarze i modre świtezianki, wiecznie trzepoczące siateczkowatymi skrzydłami dokoła badyłów sitowia. Błądziły tylko jeszcze po świetlanej powierzchni głębin niestrudzone muchy wodne na swoich szcudlastych nogach, cienkich jak włosy, a zaopatrzonych w kolosalne i nasyczone tłuszczem stopy — i pracowało dwoje ludzi.

Błota należały do dworu. Dawniejszy młody dziedzic taplał się po nich z wyżłem za kaczkami i bekasami póty, póki wszystkich lasów nie wyciął, pól nie zostawił odłogiem i, wyleciawszy nagle z dziedzictwa, nie oparł się aż w Warszawie, gdzie teraz wodę sodową w budce sprzedaje.

Gdy nastał nowy, mądry dziedzic, biegał po polach z kijkiem i często nad błotami stawał.

Gmerał w bagnie rękami, dziury kopał, mie-

rzył, wachał — aż wreszcie wymyślił rzecz dziwną. Kazał karbowemu najmować dzień w dzień chłopów do kopania torfu, szlam na pola wywozić taczkami, na kupy składać, a dziury kopać precz, póki się nie wybierze miejsca na sadzawkę; wówczas groble fundować, dół na drugą sadzawkę wybierać niżej, aż ich się kilkanaście uzbiera; wtedy rowy rznąć, wody napuszczać, mnichy wstawiać i ryby sadzić...

Do wywożenia torfu najął się zaraz Walek Gibała, bezrolny wyrobnik, na komornem siedzący w poblizkiej wiosce. Gibała u dawnego dziedzica służył za fornala, ale u nowego się nie utrzymał. Nowy dziedzic i nowy rządca po pierwsze ordynaryę i pensyę zaraz zmniejszyli, a powtóre szukali w każdej rzeczy złodziejstwa. U dawnego dziedzica każdy fornal pół garnca owsa swojej parze koni ujmował i niósł wieczorkiem do szynkarza Berlina za tytuń, za bibułkę, za kapkę gorzalki. Jak tylko nowy rządca nastał, zaraz ten interes zmiarkował, a że na Walka właśnie wino padła, w pysk mu dał i wygnał ze służby.

Odtąd Walek z babą siedział na komornem we wsi, bo służby znaleźć nie mógł: rządca wydał mu takie świadectwo, że niepodobna było zgłaszać się nawet gdziekolwiek do służby. We żniwa tu i owdzie po chłopach zarabiali oboje; ale zimą i na przednówku marli głód straszliwy, nieopisany. Ogromny, kościsty, z żelaznymi mięśniami chłop wysechl jak wiór, zczerniał, zgarbił się, zesłabł. Baba — iak baba, a kumoszki się pożywi, grzybów, malin, poziomek nabiera do dworu, albo do żyda zaniesie

i choć na bułkę chleba zarobi, a chłop przy młócce bez jedzenia nie podola. Gdy karbowy zapowiedział kopanie na łące, obojgu aż się oczy zaświeciły. Sam rządca trzydzieści kopiejek od wyrzucenia sążnia kubicznego obiecał.

Walek babę do kopania zajmował dzień dnia. Ona taczki naładowuje, on po tarcicach, rzuconych przez bajora, wywozi szlam na pole. Robota pali im się w rękach. Mają dwoje wielkich i głębokich taczek, nim Walek puste przyciągnie, już drugie naładowane; — szlę na ramiona narzuca i pcha pod górę. Żelazne kółko skrzypi przeraźliwie; rzadkie, czarne, ciekące, przerośnięte korzonkami błoto pierzcha i flejtuchami pada na obnażone do kolan nogi chłopca, gdy taczki z deski na deskę przeskakują, szła wrzyna mu się w kark i ramiona, wyciskając na koszuli czarną pręgę cuchnącego potu, ręce mdleją w łokciach, nogi cierpną i drętwieją od zanurzania ich w szlamie — ale dwa kubiki na dużym dniu wybrane — to znaczy kawał grosza w kieszeni.

Mieli nadzieję, że pod koniec jesieni trzydzieści rubli odłożą, komorne zapłacą, beczkę kapusty zakupią, ziemniaków z pięć korcy, sukmanę, buty, zapasek ze dwie, szorc dla baby, płótna na koszule, że przebiedują do wiosny, to młocką, to tkactwem u ludzi dorabiając.

Aż tu rządca po trzydzieści kopiejek od kubika wydało się zniecka za wiele. Zwąchał, że nie każdy się złakomi od świtu do nocy w błocie gmerać, że im tam widać dobrze dojadło, kiedy

bez namysłu do takiej roboty się kwapią; po dwadzieścia kopiejek, powiada, to dobrze, a nie, to nie...

Po chłopach w taki czas nie zarobi, dwór się swoimi ludźmi przy młockarniach i maszynach obywa — przebierać niema w czym. Walek po takiej zapowiedzi poszedł do karczmy i schlał się ze złości jak bydłę. Na drugi dzień babę wyprał i pojął ze sobą do roboty.

Od tego czasu — na małym dniu — te same dwa kubiki wyrzucają, od rannego brzasku do szczerzej nocy nie ustępując w robocie.

I teraz oto z dala noc idzie: dalekie, jasnoniebieskie lasy zczerniały i rozplywają się w pomroce szarej, na wodach blask przygasa, od stojących przed zorzą świerków padają niezmierne cienie, na szczytach wzgórz, po porębach, czerwienią się tylko jeszcze gdzieś to pniaki, to kamienie. Od tych punktów świecących odbijają się małe i nikle promyki, wpadając w głębokie pustki, jakie tworzy pośród przedmiotów ciemność niezupełna, wibrują w nich, łamią się, drżą przez drgnienie oka i gasną, gasną po kolei. Drzewa i krzewy tracą wypukłość, bryłowatość, kolor naturalny i tkwią w szarej przestrzeni tylko jako płaskie kształty o dziwacznych zarysach, czarne zupełnie.

W nizinie zsiada się już mrok gęsty i pociąga chłód nawskrós przejmujący człowieka. Pomroka idzie niewidzialnemi falami, pełźnie po zboczach wzgórz, wciągając w siebie jałowe barwy ściernisk, wykrotów, osypisk, głazów.

Na spotkanie fal mroku wstają z bagien inne,

białawe, przejrzyste, ledwo — ledwo widzialne, czołgają się smugami, kłębamii okręcają się dokoła zarośli, dygocą i miętoszą ponad wód powierzchnią. Zimny powiew wilgoci mięsi je, tłucze po dnie doliny, rozciąga na płask, jak postaw zgrzebnego płótna.

— Mgła idzie... — szepce Walkowa. Jest to ta chwila zmierzchu, kiedy wszystkie kształty widoczne zdają się rozsypywać w proch i nicość, kiedy rozlewa się nad powierzchnią gruntu szara próżnia, zagląda w oczy i uciska serce jakąś nieznaną zgryzotą. Walkową strach ogarnia. Włosy jeżą jej się na głowie i mrowie przechodzi po skórze. Mgły idą, jak żywe ciała, podpełzają do niej chyłkiem, zabiegają z tyłu, cofają się, czają i znowu ławą suną coraz natarczywiej. Kładą na niej wreszcie wilgotne swe ręce, wsiąkają w ciało aż do kości, drapią w gardzieli i łechcą w piersiach. Wtedy przypomina jej się jej dziecko. Od południa go nie widziała: śpi samo jedno w zamkniętej izbie, w kolebce lipowej zawieszanej u stragarza na brzozywych wiciach. Płacze tam pewno, zachłysta się, łka... Matka słyszy ten płacz przedziwny, żallosny, jak pisk kani na pustkowiu. Rozlega się on w jej uszach, nęka jakieś jedno miejsce w mózgu i drażni w sercu. Przez cały dzień nie myślała o niem, bo twarda robota rozprasza wszelkie myśli, unieczestwia je prawie i mąci, ale teraz strach wieczorny zniewala ją do skupienia się, zaczepiania myślami o tę kruszynę...

— Walek, — mówi trwożliwie, gdy chłop ta-

czki przyciągnął — polecę do chałupy, naskrobię ziemniaków?...

Gibała nie odpowiada, jakby nie dosłyszał, zabiera taczki i rusza, przysiadając, jak wór żyta na wadze dziesiętnej. Gdy powrócił, kobieta błagała znowu:

— Waluś, polecę?

— Ej... — mruknął od niechcenia.

Zna ona jego gniew, wie, jak on umie chwycić pod żebro, zebrać w garść skórę, trząsnąć raz, drugi, a potem cisnąć człowiekiem, jak kamieniem między szuwary. Wie, jak on potrafi zedrzeć jej szmatkę z głowy, omotać sobie pięść włosami i przewlec struchlałą kobietę kawał drogi, albo w zapamiętałości wyrwać z błota rydel i ciąć przez łeb bez namysłu — zabije, czy nie zabije.

Ale nad bojażnią kary góruje niecierpliwa tro-ska, podniecająca aż do bólu. Chwilami baba zamierza uciec: tylko się na balyku zsunąć w wąwo-zik, skoczyć przez strugę, a potem po roli, po za-gonach, na przelaj. Schylając się i napęlniając taczki, leci myślami, skacze jak łasica, wyczuwa już prawie ból, gdy boso biedz będzie po ścier-niach, zarosłych drobną tarniną i jeżynami... Te ostre kolki kłują nietylko jej nogi, ale przebijają serce. Dopada chaty, odmyka zasuwę drewnianym kluczem, bije jej na twarz ciepło i zaduch izby, — spina się do kolebki... Zabije ją Walek, gdy przyj-dzie do chaty, skatuje, — a to i cóż: to tam już potem...

Skoro jednak Walek wynurzy się ze mgły,

ogarnia ją lęk jego pięści. Znowu się modli pokornie, aczkolwiek wie, że jej ten zbój nie puści.

— A tam dziewczucha może uświerkla...

Nie odpowiedział nic, zrzucił z ramienia szelkę od tacek, zbliżył się do żony i wskazał ruchem głowy palik, do którego muszą dziś dokopać. Potem ujął za rydel i zaczął raz za razem narzucać szlam na swoje taczki. Robił to zapamiętale, szybko, co tchu. Narzuciwszy pełne taczki, popchnął je, biegnąc cwałem i rzekł na odchodnem:

— Pchaj i ty swoje, próżniaku...

Pojeła to łaskawe ustępstwo na rzecz jej miłości, tę grubijańską dobroć, tę twardą i surową jakby pieszczotę, bo jeśli narzucają ziemię obcoje, robotę skończyć można daleko prędzej. Naśladowała teraz szybkie i skwapliwe jego ruchy, jak mała, narzucała błoto cztery razy szybciej — już nie mięśniami, nie z chłopską, rozważną ekonomią wysiłku, ale mocą nerwów. W piersiach jej rzężało, pod powiekami migwały jaskrawe kolory, mdliło w piersiach i leciały z oczu łzy gorzkie, grube, łzy bezmyślnego bólu — w ten gnój zimny i cuchnący. Co wbije w ziemię rydel, to spojrzy, czy do palika daleko; gdy ładunek gotowy, chwyciła taczki i biegnie »w dyrdy«, naśladowując chłopca.

Mgły wspięły się wysoko, zawlekły szuwały i nad szczytem olszyn murem nieruchomym stoją. Znać w nich drzewa, jak plamy nieokreślonej barwy, dziwacznie wielkich kształtów, a nędzarzy, biegających wpoprzek rozdołu, jak jakieś potwornie ogromne widma.

Głowy ich opadają na piersi, ręce wykony-

wują ruchy jednostajne, kadłuby zginają się ku ziemi...

Kółka taczek turkocą i skwierczą, fale podobne do rozcieńczonego wodą mleka, kołyszą się między wzgórzami czarnymi.

W głębinie niebios roznieciła się gwiazda wieczorna, płonie, drząc i ciska wpoprzek mroków ubogie swoje światełko.



„Cokolwiek się zdarzy — niech
uderza we mnie“...

Sofokles. »Edyp-król«.

Na łóżku, oznaczonem liczbą 24, w najbardziej ciemnym kącie sali, leżał od kilku miesięcy trzydziestoletni może parobek folwarczny. Nad wezglowiem łóżka kołatała za każdym poruszeniem się chorego czarna, drewniana tablica z napisem: *caries tuberculosa*¹⁾... Amputowano biedakowi nogę powyżej kolana, wskutek suchotniczego gnicia kości. Chłop był bezrolny, kartoflarz, z kartoflarzów pochodził. Miał we dworze służbę, ożenił się był przed trzema laty, chłopaka o konopiastej czuprynie się dochował, — aż oto, ni z tego, ni z owego, zaboląła go noga w kolanie i pootwierwały się ranki. Dał dobry człowiek furmankę do miasta i odstawiono chudziaka na koszt gminy do szpitala.

Tamto jeszcze pamiętał dobrze, jak jedzie w odwieczerze jesienne z kobieciną swoją w paradnym wasągu z półkoszkami, jak se popłakują

¹⁾ gruźlicze próchnienie kości (łac.)

oboje ze strachu i żalości — i co se zapłaczą, to przegryzą jajkiem, ugotowanem na twardo — a potem to już tylko jakaś niezmierna szarzyzna, niby mgła, nie mgła...

Dnie szpitalne bez różnicy, bez odmiany, znikły mu z pamięci, tworząc jakby niezgłębioną wyrwę w życiu — tylko smutek nieodmienny przez ciąg tyłu miesięcy przygniatał mu duszę z taką nieubłaganą i brutalną siłą, z jaką płyta kamienna przygniata mogiłę. Przez tę mgłę pamięta półjasno dziwne dziwy, jakie z nim wyrabiano: kąpanie, głodzenie, zapuszczanie w rany drucików aż do kości — potem operację, jak niosą go na salę, między panów, ubranych w fartuchy, krwią zbroczone — i to dziwne, nieustraszone męstwo pamięta, jakie go podparło tej godziny, niby ręka miłosierdzia.

Przed operacją, patrząc na szereg zjawisk, budzących wstręt — snuł i on z głębi prostej swej duszy nic rozmyślań, jakie snuć uczy ta największa na ziemi mistrzyni — wspólna sala w szpitalu. Po operacji wszystko zasłoniło znużenie śmiertelne i niechęć. Zimno mu było ciągle, a około południa, nad wieczorem zaczynało w czaszce coś ciążyć, niby kula kamienna, i szły od kuli do nóg strumienie mrozu. Od palców znowu zdrowej nogi ciągnęły ku czaszce fale rozmarzającego ciepła. Myśli, jak kropelki żywego srebra, chyżo zlaływały w jakiś kącik mózgu, i podczas gdy leżał skurczony w kałuży potu, podczas gdy powieki opadały same — nie na sen, lecz na bezwładność, — napastowały go dziwaczne, półsenne widziadła.

Oto znikają wszystko i zostawała tylko szara, nieujęta, przesycona zapachem chloroformu przestrzeń, napół rozświetlona przez znikome i rozproszone światło, podobna do wnętrza niezmiernego ostrokreśła, jaki się tuż zaczyna i jak lej bez miary leży na ziemi. Tam, w niesłychanej oddali, gdzie się zwięża wierzchołek, istnieje biała plamka świetlista: tamtędy się wychodzi... Idzie do tej szczelinki dniem i nocą po nieskończonej linii spiralnej, obiegającej wewnętrzną powierzchnię leja, idzie przez mus, przez wysiłek, jak ślimak, choć się zrywa w nim coś, jak kwiczoł, zaczepiony nogą w sidle, choć trzepocą w nim niby skrzydła ptasie. I nie może podlecieć wyżej, jak na długość sidła i ciągle spada a spada... Wie, co z onej szczelinki widać. Tylko nogą stąpić — miedza idzie na niwce pod lasem, gdzie były jego własne cztery zagony kartofli. I śni mu się, podczas gdy się wyrywa mechanicznie ze swej próżni — czas kopania. Cicho tam pod lasem, jest jesienna przejrzystość przestrzeni, co zbliża z odległości przedmioty i daje je widzieć wyraźnie. We dwoje z kobieciną kopią piękne, jak kocie łby, ziemniaki. Na wzgóreczku, na ścierni, pastusi zebrali się w gromadkę, workami się pookręcali, poskurczali bose nogi, jałowcu suchego nanieśli, zapalili ognisko i wygrzebują patykami z popiołu pieczone kartofle. Dym w powietrzu pachnie, jałowcowy, wonny...

Gdy bywał zdrowszy, trzeźwiejszy, gdy go nie tak dokuczliwie męczyła gorączka, wpadał w bojażń, w trwogę przeraźliwą zdruzgotanych i zamęczonych. Jestestwo chłopca skupiało się pod jej

uciskiem w wielkość tak małą, jak ziarnko szaleju, i zlatywało, gnane przez nagłe przesady, przez jakieś dźwięki przeraźliwe, roztrącając się o gzemsy próżni bezdennej.

Nareszcie zaczęła się goić rana na nodze i gorączka ustąpiła. Dusza biedaka powróciła jakby z tamtego świata do pierwotnego jej stanu, do rozmyślań nad tem, co przesuwano się przed jego oczyma. Lecz jakże się zmienił rdzeń tych rozmyślań! Dawniej była to litość, wyrastająca ze wstrętu,— teraz była to nienawiść skaleczonego zwierzęcia, gwałtowne pragnienie odwetu, wściekłość, obejmująca drapieżnym uściskiem zarówno tych nieszczęśliwych, którzy leżą obok, jak i tych, co go okaleczyli. Co więcej zrodziło się i trwało, nie ustając w jego sercu, niby skowyczenie, z którem w zapamiętałym pościgu biegły jego myśli, doszukując się tej mocy, co nań wyrok wydała.

Ten stan nękania samego siebie trwał długo i wzmogło się rozjątrzenie duszy.

Aż oto pewnego razu zauważył, że zdrowa noga drętwieje mu i puchnie w kostce. Gdy chirurg naczelny odbywał codzienną wizytę poranną, chłop zwierzył mu się ze swą obawą.

Lekarz badał jego wyschnięte, zwiędłe ciało, przeciął nieznacznie nabrzmienie, zobaczył, że sonda sięga do kości, strzepnął palcami i spojrział ze smutkiem zagadkowym w oczy parobka.

— Źle, bracie, z tobą! Trzebaby drugą nogę... uważasz także... tego. A tyś kiepski. Leż sobie tu, tu ci będzie lepiej, niż w chałupie, jeść ci dadzą... I odszedł w towarzystwie asystentów. Od drzwi

powrócił jeszcze na chwilę, nachylił się nad chorym i nieznacznie, aby nikt nie widział, przesunął pieśczośliwie ręką po jego głowie.

Chłopa zamroczyło, jakby go z nienacka bił jakim cepów ugodzono w ciemię. Zamknął oczy i leżał długo — aż nastala w nim cisza nieznaną.

Jest w duszy ludziej kryjówka zaczarowana, na siedm zamków zamknięta, a nie otwiera jej nikt i nic, tylko wytrych złodziejski mściwego nieszczęścia.

Sofokles nazwał kryjówkę tę po imieniu przez usta oślepiającego się Edypa... A kryje się w niej dziwna rozkosz, słodka konieczność, największa mądrość.

Cicho leżał chłopowina ubogi na swym tapczanie i szedł po duszy jego jakby Chrystus po bałwanach wzburzonych morza, uśmierzając burzę.

Odtąd przez długie noce, przez dnie plugawe patrzył na wszystko jakby z niezmiernego oddalenia, z dobrego miejsca, gdzie jest cicho i niewymownie dobrze, skąd wszystko wydaje się małe, trochę zabawne i głupiutkie, lecz godne miłości.

— A niech-ta, niech-ta — szeptał do siebie — niech-ta Pan Jezus da ludziom... Nie bój się i mnie ta niegorzej przecie...



74. Lenartowicz T. — Wybór poezyj.
75. Kondratowicz L. — Wybór poezyj.
90. Korzeniowski J. — Karpaccy górale.
91. Kondratowicz L. — Ułas.
95. „ — Wielki czwartek.
96. Asnyk A. — Wybór poezyj.
98. Pol. W. — Pieśń o ziemi naszej.
102. Krasicki Ign. — Bajki i przypowieści. — Wybór.
103. Tetmajer K. — Wybór poezyj.
105. Niemcewicz J. U. — Wybór poezyj.
119. Kubala L. Dr. — Mieszczanin polski z XVII w.
122. „ — Oblężenie Zbaraża i pokój pod Zborowem.
124. Szajnocha K. — Barbara Radziwiłłówna.
127. Mickiewicz A. — Ballady.
128. „ — Bajki i powiastki.
130. Słowacki J. — Ojciec zadżumionych. — W Szwajcarji.
131. „ — Jan Bielecki. — Arab. — Mnich.
142. Niemcewicz J. U. — Śpiewy historyczne.
143. Mickiewicz A. — Sonety Krymskie. — Farys.
145. Brodziński K. — Wiesław.
146. Kondratowicz L. — Szkolne czasy.
147. Słowacki J. — Liryki.
149. Fredro A. hr. — Pan Geldhab.
150. „ — Zemsta za mur graniczny.
151. „ — Śluby panięskie.
154. Krasicki J. — Satyry i listy.
164. Słowacki J. — Anelli.
166. Mickiewicz A. — Konrad Wallenrod.
168. Szekspir W. — Sen nocy letniej. Przekład Koźmiana.
169. Świętochowski St. — Hymn niemych. — Woły.
170. Dymowska M. — Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskie
go: Bielski, Górnicki, Strykowski, Paprocki
176. Mościcki H. — Wernyhora. — Ks. Marek.
178. Ustawa Rządowa z dn. 3 Maja 1791 roku.
180. Reymont Wł. — Z ziemi Chełmskiej.
181. Prus B. — Omyłka.
182. Romanowski M. — Liryki.
185. Szujski J. — Tadeusz Rejtan na sejmie 1773 i
188. Chrzanowski I. — Liryka patriotyczna Asnyka.

183. Asnyk — Poezje patrijotyczne i społeczne.
190. Szekspir W. — Juljusz Cezar. Przekład Paszkowskiego
191. Hoffmanowa K. — Obiad czwartkowy.
192. Kochanowski J. — Treny.
193. Oppman A. — Pieśni o księciu Józefie.
195. Gomulicki W. — Wybór poezyj.
196. Słoński E. — Wybór poezyj „Ta, co nie zginęła“.
197. Korzeniowski J. I. — Wąsy i peruka.
198. Krasicki I. — Powieść o narożnej kamienicy.
199. Szajnocha K. — Matka Jagiellonów. Szkic historyczny
200. Molière J. — Skąpiec. Przełożył Boy.
201. Żółkiewski St. — Początek i progres wojny Moskiewskiej
202. Smoleński Wl. — Znaczenie T. Kościuszki w dziejach Polski
203. Byron. — Korsarz.
204. Szajnocha K. — O „Łaźni“ Bolesława Chrobrego.—Kopje
husarsk
205. Smoleński Wl. — Znaczenie Konstytucji 3 Maja.
206. Słowacki J. — Rozmowa z Matką Makryną Mieczysławską
207. Pol W. — Wit Stwosz.
208. Dubiecki. — Bohaterski naczelnik powstania styczniowego
(Romuald Traugutt)
209. Zmorski R. — Wybór poezyj.
210. Oppman A. — Pieśni o Belwederskim powstaniu.
211. „ — Pieśni o legjonach.
212. Konarski Sz. — O obowiązkach Polaka.
213. Mościcki H. — Twórca pieśni „Jeszcze Polska nie zgi
nęła“, J. Wybicki
214. Korzeniowski J. — Kollokacja.
215. Sienkiewicz H. — Stary sługa.
216. Szekspir W. — Kupiec wenecki.
217. Słowacki J. — Kordjan.
218. Żeromski St. — Rozdzłobią nas kruki, wrony... — Dc
swego Boga
219. Wyspiański St. — Kazimierz Wielki.
220. Descartes. — Rozprawa o metodzie dobrego powodowa
nia swoim rozumem
221. Włodek L. — Bolesław Prus.
225. Małaczewski E. — Dzieje Bałki Murmańskiej.



